



NAD RZEKĄ.

Ot, krajobraz się rozwidnia
 I nurt rzeki się rozszerza;
 Umajone zielonością
 Pochylają się wybrzeża.
 Tuż nad wodą ożyn krzewy
 Kąpią w rzece swoje liście
 Wyżej krzaki leszczynowe
 Oplątane w chmielu kiście.
 Ustrojone festonami
 Które zwiesza powój dziki
 Z pod nich główki wychyliły
 Polne dzwonki i storczyki.
 Jakże gwarно i rozwdzięcznie,
 W tej ustroni malowniczej,
 Gdzie kapeli ptasiej dzielnie
 Sam mistrz słówk przewodniczy!
 Gaśnie słońce, ale niebo
 Jeszcze się blaskami pali
 I gorącą barwę swoją
 Jak pożłotą toń powleka:
 Już nie wodą ale złotem
 Roztopionem płynie rzeka!

(Urywek z poematu).

POGADANKA NAUKOWA.

SIARKA.

Pan Witold postanowił zaznajomić Kazia i Helenkę z najzwyklejszymi minerałami i na początek wybrał siarkę; to też gdy weszli do jego pracowni, zobaczyli na stole żółte, znane im już z widzenia, podługowate kawałki siarki zwyczajnej, przyczem obok na miseczkę leżał jakiś ciemno brązowy, przejrzysty kawałek — gumy — jak zdecydował Kazio.

— Jak się panie Helenie zdaje, czy to guma? — zapytał nauczyciel.



— Nie wiem doprawdy — odparła — przypomina mi to galaretę.

— A jednak jest to także siarka.

Kazio i Helenka wiedzieli, że tylko prawdę usłyszyć mogli z ust nauczyciela, teraz przecież z niedowierzaniem spojrzeli na niego.

— Chyba w połączeniu z innym ciałem — zauważył Kazio.

Pan Witold potrząsnął głową.

— Nie — odparł — jest to taka sama co do składu chemicznego siarka, jak ta, którą tu obok widzicie. Zaraz wam to objaśnię, przedtem jednak zapytam, czy wiecie skąd siarkę bierzemy.

— Niedokładnie — odpowiedział Kazio — słyszałem, że siarkę znajdują w obfitości w połączeniu z żelazem...

— Tak jest — potwierdził pan Witold. — Żelazo w połączeniu z siarką, tworzy minerał zwany pirytem, którego bardzo obfite pokłady posiada ziemia nasza. Znajdujemy też czystą prawie siarkę w okolicach wulkanicznych np. pod Neapolem, w Sycylii. By ją oczyścić ze zbyt licznych domieszek, siarkę przetapiają, a teraz właśnie chcę wam wytłumaczyć jakim sposobem możemy otrzymać taką brunatną elastyczną jej odmianę. Jeśli odrobincie siarki przyjrzymy się przez mikroskop zobaczymy, że składa się ona z malutkich ośmiokątnych kryształów, jeżeli jednak ogrzejemy siarkę do bardzo wysokiej temperatury i roztopioną wlejemy szybko do naczynia z zimną wodą, wówczas z krystalicznej siarki staje się masą bezkształtną, jak to tutaj widzimy — dodał pan Witold wskazując na miseczkę.

Nie pozostanie ona przecież w tej postaci długo, po kilku dniach straci przejrzystość i powoli zamieni się znów w siarkę krystaliczną. Właściwość, którą mają niektóre ciała przybierania dwóch lub kilku odmiennych postaci, pod wpływem bądź to ciepła, bądź innych czynników zwiemy allotropią. Allotropicznym np. jest... tu zatrzymał się pan Witold — może panna Helena albo Kazio potrafią znaleźć przykład?

Oboje zapytani przypomnieć sobie na razie nie mogli, jakie to jeszcze znane ciała przybiera podwójną postać.

— Fosfor — wyrzekł pan Witold — ale o nim pomówimy innego dnia. Dzisiaj pomówić mamy jeszcze o użytkach z siarki.

— Nieprawdaż, panie profesorze, że używają siarki przy wyrobie prochu strzelniczego? — zagadnęła Helenka.

— Tak jest. Proch strzelniczy składa się na sto części: z 78 części saletry, 12 części siarki i 10 węgla.

— A saletra, co to za ciało? — spytał Kazio.

— Jest to związek chemiczny azotu, tlenu i potasu; w języku chemicznym saletra zowie się azotanem potasu.

— A saletra chilijska? słyszałem gdy ojciec wspominał raz o niej, mówiąc, że dla niektórych tylko roślin służyć może za nawóz.

— Saletra chilijska tem różni się od zwyczajnej, że miejscem potasu zajmuje tu sod, jest to więc azotan sodu. Ponieważ zaś wszystkie rośliny potrzebują potasu, a niektóre tylko zadawalniają się sodem, więc też zwyczajna saletra jest pożądaną dla roślin pożywnością, tembardziej, że oprócz potasu zawiera jeszcze azot, tak konieczny dla życia roślin. Lecz powróćmy do naszej siarki. Otóż istnieją dwa kwasy siarczane, czyli połączenia siarki z tlenem albo z tlenem i wodorem,

które znajdują w przemyśle olbrzymie zastosowanie. Już starożytni zauważyli, że jeśli potrzymamy kawałek kolorowej wełny nad parą z palącej się siarki, wtedy wełna bieleje, długie przecież wieki upłynęły zanim zbadano ową parę. Otóż siarka paląc się, wciąga w siebie tlen z powietrza i tworzy kwas siarkowy. Ten kwas jest gazem, który możemy rozpuścić w wodzie.

Tu pan Witold wyjął z szafki flaszkę przezroczystego płynu.

— Przekonamy się zaraz o działaniu tego kwasu na kolor nawet kwiatów. Oto, mamy tutaj bukietek fiołków fioletowych, które pod wpływem kwasu...

Pan Witold oblał kwasem fiołki, i ku wielkiej radości Helenki, kwiaty przybrały śliczną śnieżysto-białą barwę.

— Białe fiołki. Tak je lubię! Ależ możnaby pana wziąć za czarodzieja, panie profesorze.

— A tym czarodziejem jest tylko kwas siarkowy — uśmiechnął się nauczyciel. — Nakoniec wspomnieć musimy o kwasie siarczanym.

Jest to połączenie siarki z tlenem i wodorem. Lecz przedtem radbym zapytać, czy pamiętacie dobrze różnicę między kwasem a zasadą?

— Pamiętam — odparł Kazio — pan profesor uczył nas, że tak siarka, jak chlor, brom, sod, fluor, azot, wreszcie węgiel w połączeniu z tlenem lub z wodorem dają ciała kwaśne, które mogą łączyć się z metalami i tworzyć tym sposobem ciała zwane solami. Ciała dające kwasy nazwano metaloidami; wreszcie jeżeli poddamy pod prąd elektryczny roztwór jakiej soli, metal przyciągnie biegun ujemnej elektryczności, metaloid zaś biegun elektryczności dodatniej.

— Dobrze; tak jest z niektórymi wyjątkami o których nie pora wam mówić — odparł pan Witold. — Co do kwasu siarczanego jest to najsilniejszy z kwasów, i ma wielką do wody sympatyę, pochłania ją gdziekolwiek ją spotka, nawet tam gdzie znajduje tylko jej składowe części, np. w cukrze. Cukier bowiem, ten biały, słodki cukier składa się z węgla, tlenu i wodoru. Otóż zaraz przekonamy się o tej sympatyj kwasu siarczanego do wodoru i do tlenu, z których jak wiadomo składa się woda.

Pan Witold wrzucił parę kawałków cukru na dno słoika poczem nalał na nie kwasu siarczanego.

— Niech panna Helena weźmie w jedną rękę tę flaszkę z kwasem siarkowym a w drugą z kwasem siarczanym.

— Ach! jakież ten kwas siarczany ciężki.

— Bez wątpienia, kwas ten jest płynem, posiada wysoce ciężar gatunkowy, gdy tymczasem kwas siarkowy właściwie jest gazem, który tutaj rozpuściłem w wodzie. A może p. Helena weźmie te białe fiołki na pamiątkę czarodziejskich sztuk tego kwasu.

— Bardzo panu profesorowi dziękuję — odparła Helenka.

— A ja, co dostanę, panie profesorze?

— Ty, mój chłopcze, spójrz, już tu gotuje się podarek dla ciebie.

Dzieci ujrzały w słoiku jakąś czarną masę zamiast białego cukru.

— Oto, Kaziu kawałek węgla dla ciebie, kwas siarczany pochłoniął tlen i wodór z cukru, a zostawił nienaruszony czarny węgiel.

— Niech żyje czarodziejska siarka! — zaśmiał się Kazio. — Ślicznie dziękujemy panu profesorowi. A. M.

PRZED LAT TYSIACEM.

(Dalszy ciąg).

Przekupnie roznosili pomarańcze, a szmer fal morskich w amfiteatrze panował. Nagle odezwał się dźwięk trąby, rozmowy ucichły. Zwolna otworzyły się drzwiczki poza siedzeniem obitem purpurą i ukazał się Domicyan, ów groźny cesarz, który wedle słów jednego z pochlebców, glob ziemski skinieniem swoim poruszał.

— „*Ave Caesar!*” (pozdrawiamy cię, cesarze) — zawołał lud.

Domicyan pochylił głowę, z uśmiechem podniósł rękę na powitanie swych rzymian i wyrzekł:

— „*Avete vos!*” (i ja was pozdrawiam).

Po prawej stronie imperatora usiadła jego żona Domicya, miejsce po lewej stronie pozostało puste, ponieważ było ono przeznaczone dla Jowiszowego arcykapłana, a nieszczęśliwy Tytus Klaudyusz Mucyanus, leżał teraz chory w swym domu, pasując się ze śmiercią.

Trąba herolda zabrzmiała znowu, a zaraz potem otworzyła się brama, przez którą gladyatorowie ze swego podziemia wyszli na arenę. Wysocy to i silni byli mężczyźni, po większej części młodzi i po większej części o jasnych włosach i oczach błękitnych, gdyż prawie wszyscy pochodzili z krajów północnych. Przechodząc koło cesarza pochyłali głowy, donośnym głosem wołając:

— „Bądź pozdrowiony cesarze! umierający pozdrawiają cię!”

Skoro wszyscy gladyatorowie przeciągnęli, ukazał się mistrz kierujący zabawami i oddawszy pokłon imperatorowi oznajmił:

— Swew Marcus, walczy z Cheruskim Tumelicusem!

Zagrzmiała dzika muzyka, reszta gladyatorów wróciła do podziemia, mistrz laską zakreślił koło, w którym walka miała się odbywać. Dwaj niewolnicy uzbroili gladyatorów: włożyli im hełmy, dali tarcze i miecze krótkie o szerokim ostrzu; powtórny dźwięk trąby dał hasło, poczem głucha nastąpiła cisza, bo chociażby rzymianie najczęściej patrzyli na gladyatorów, zawsze miały one dla nich niezrównany urok.

Zwolna, przeciwnicy zbliżali się do siebie. Niewątpliwie znali się oni i w ciągu ostatnich miesięcy, może przebywali razem i może zaprzyjaźnili się nawet, teraz wszakże każdy z nich miał tylko jedno pragnienie: uśmiercić przeciwnika, aby swoje własne życie ocalić.

Rozpoczęła się walka... Tumelicus tak strasznym ciosem ugodził w bok Swewa, że ten nie miał siły się bronić — wyciągnął rękę i wielki palec wznosił ku górze na znak, że się uważa za zwyciężonego i błaga łaski. Wybuchnęły pogardliwe śmiechy... jakto gladyator tak niezręczny że przy pierwszym skrzyżowaniu mieczów pozwolił się zranić, śmie żądać łaski... o nie! nie otrzyma jej nigdy!

Wszyscy widzowie bez wyjątku opuścili palce na dół, to miało znaczyć że chcą, aby gladyatorowie walczyli dłużej.

Nieszczęśliwy Swew westchnął; na jego obliczu malowało się cierpienie bez granic. Może w tej przedśmiertnej godzinie myśli jego leciały w dół, do Germanii, do ojczyzny, tam gdzie w gęstych borach polował na gemzy i gdzie na górach róże zbierał na wieńce dla złotowłosych dziewczec... tam gdzie stara matka, siostry wypłakiwały sobie oczy z żalu i tęsknoty za nim, którego rzymskie legiony z pola bitwy do niewoli wzięły i uprowadziły z sobą...

Pochylił głowę i w milczeniu oczekiwał śmiertelnego ciosu. Cherusk Tumelicus postępował naprzód i... ostrze miecza zatopił w sercu przeciwnika...

Cały amfiteatr trząsł się od grzmiących oklasków, sam cesarz raczył przyklasnąć... Potem wszedł na arenę piękny wysmukły młodzieniec przebrany za posłańnika bogów: Merkurego. Miał na nogach srebrne obuwie ze skrzydłami i w ręce trzymał żelazną laskę, z płonącym końcem. Zgrabny, lek-

ki, uśmiechnięty przyskoczył do Swewa i dotknął go płomykiem przymocowanym do laski. Gladyator ani drgnął... już nie żył. Wówczas na skinienie młodzieńca przebranego za Merkurego, pachołki wywlekli z areny, zbroszone krwią zwłoki Germana...

Po walkach gladyatorów nastąpić miały walki Nazareńczyków z dzikimi zwierzętami.

Pachołki posypali piaskiem arenę i mistrz uroczystości oznajmił znowu:

— Kalenus, Nazareńczyk będzie walczył ze lwem!

Dwaj niewolnicy wprowadzili wyniosłą postać o zagalskich żrenicach i śnieżno białych włosach. Starzec trzymał oburącz symbol swej wiary: krzyż, bo i czyż nawet, on, niewolny mógł użyć miecza w swej obronie?... Chrapliwy ryk głodnego lwa wstrząsnął amfiteatr. Zwierzę skoczyło i w ciągu minuty Kalenus stał się tylko krwawą, bezkształtną bryłą... Była to już ostatnia część przedpołudniowych przedstawień. Znużeni widzowie opuścili cyrk, aby się posilić i rozmawiać, o doznanych przyjemnościach i wrażeniach.

XXI.

Rządca, cesarzowej Domicyi, sam własnoręcznie zamknął skrzepowanego Eurymachusa do lochu, który znajdował się pod jego mieszkaniem, a skoro tylko uwolnił się od zajęć wzięwszy lampkę i sztylet udał się do podziemia.

— Więc dostałem cię na koniec w moc swoją! — zawołał Stefanus, stawiając lampkę na wystającym zrzebie muru. Tym razem już mi się nie wymkniesz! Oho!... I gdzieżeś to wałęsał się przez tyle miesięcy?... Odpowiadasz ty uparciuchu, bo jeśli nie, potrafię rozwiązać twój język.

Wyciągnął z pochwy sztylet i przyłożył go do piersi Eurymachusa.

Młodzieniec ani drgnął i spokojnym głosem wyrzekł z cicha:

— Pragnąłbyś mej śmierci, aby usunąć świadka niesłychanej twej zbrodni. Ale dowiedz się że twoja tajemnica nie zginęłaby ze mną. Prawnik Enejusz Afraniusz został przymuszony powiadomiony, że przez rok cały brata, rodzonego swego brata więziłeś w wilgotnem i ciemnem podziemi, gdzie miał najłepsze pożywienie i wiązkę zgnitej słomy za posłanie. Rok! rok! tak udurczałeś brata, aby śmierć schorowanego biedaka przyspieszyć i prędzej zagarnąć jego majątek... Enejasz Afraniusz zebrał już wszystkie dowody rozmaitych twoich zbrodni i lada godzina od trybunałów zażąda sprawiedliwości i kary... Posłuchaj mnie Stefanusie, mógłbyś tej kary uniknąć, Kwintus Klaudyusz dwukrotnie z narażeniem własnego życia, moje życie ocalił... On to na okręcie Kajusa Aureliusza wyprawił mnie do Germanii, gdzie mogłem drwić sobie z twoich groźb i pogoni, gdzie stał wolnym człowiekiem. W Germanii doszła mnie wieść, że Kwintus jęczy w więzieniu i został na śmierć skazany... Wróciłem do Romy z postanowieniem i nadzieją że mego, kochanego dobroczyńcę będę mógł ocalić, niestety! wszystkie moje zabiegi okazały się bezskuteczne... Postanowiłem przynajmniej dać Kwintusowi dowód miłości i wierności dozgonnej, postanowiłem z nim razem pójść na arenę, wynurzyć mu wdzięczność za miłość którą okazywał prześladowanemu niewolnikowi i z nim razem, przy jego boku ponieść śmierć męczeńską... Schwytał mnie twój siepacze, a to nieszczęście, które mnie zrazu pograżyło w rozpacz, może też jest łaską i zrządzeniem Opatrzności... Ty jesteś potężny Stefanusie, ty mógłbyś użyć swoich wpływów dla ocalenia Kwintusa, a za to twoja zbrodnia pozostanie na zawsze ukryta przed światem. Wymogę na Afraniusza przysięgę, że milczeć będzie, a mnie możesz w tym lochu zabić jeśli ci się podoba...

W tej chwili niewolnik postawiony na straży za drzwiami zapukał lekko. Stefanus schował sztylet do pochwy i wyszedł zatraskując drzwi za sobą. Likoryda i Leaína oczekiwały na korytarzu.

— Gdzież jest ten Eurymachus?... gdzieś go ukrył, mój przyjacielu? — pytała Galijka. Muszę się z nim rozmówić.

— Poco?

— Powiem ci później; po obiedzie. — Tymczasem, mój Stefanusie, do twoich wspaniałych komnat poprowadź Leainę i nieomieszkaj pochwalić jej woniejących włosów, które wedle najświeższej mody namaściła bajecznie drogą esencją, z aromatycznych indyjskich kwiatów. Żadna znajwykwintniejszych patrycyuszek Romy, jeszcze tej esencji nie posiada. Leaina opowie ci, jakim ją sposobem dostała... To bardzo ciekawa historia. No czemuż się ociągasz, miły gospodarzu? Zaproszeni już zaczynają się schodzić... Idźże, a mnie zostaw sam na sam z Eurymachusem. Pragnę się od niego dowiedzieć, w jaki sposób do Nazaretanizmu nakłonił Kwintusa Klaudyusza.

— Na co ci się przyda ta wiadomość? — spytał Stefanus.

— Ciekawą jestem poprostu. Czyliż nie wiesz, mój przyjacielu, że ciekawość to wada wszystkich niewiast na ziemi.

Wzruszając ramionami, tłumiąc gniew i niepokój Stefanus popchnął drzwi i wprowadził Galijkę do lochu.

— Pewna znakomita dama, chce się dowiedzieć szczegółów o twojej znajomości z Kwintusem Klaudyuszem. Odwiadaj na jej pytania z uszanowaniem i nie kłam — rzekł grożąc skrepowanemu Eurymachusowi.

Likoryda wszedłszy zamknęła drzwi za sobą, a Stefanus drżący z niepokojem i gniewu poprowadził Leainę do jadalnej sali, gdzie już liczny poczet gości był zebrany.

Zasiedli do stołu: spożyto już wiele potraw i po parę czar falernu wyprózniono, a Likoryda ciągle przebywała u więźnia. Niewolnik wysłany przez Stefanusa wrócił z niejasną odpowiedzią, z podobną wrócił i drugi. Stefanus coraz bardziej niecierpliwił się i niepokoił, wreszcie przeprosiwszy gości w żartobliwy sposób pośpieszył do lochu, gdzie zastał Likorydę zalaną łzami i klęczącą, obok Eurymachusa, który z obliczem rozpromienionem, jakgdyby w natchnieniu przemawiał do niej i zamilkł, kiedy dopiero Stefanus stanął na progu. Likoryda podniosła się ocierając z łez twarz i oczy.

— Co się toaczy? — krzyknął Stefanus. — Płaczesz? o co? no, mówże, na Jowisza?

— Nie zrozumiałbyś, choćbym wyznała, co mię tak do głębi duszy wzruszyło — rzekła Likoryda. — ale mniejsza o moje łzy. Słuchaj, przyjacielu, ty musisz ocalić Kwintusa Klaudyusza.

(d. c. n.)

W NIEBEZPIECZEŃSTWIE.



ycina nasza przedstawia chwilę śmiertelnego niebezpieczeństwa, grożącego góralskiemu chłopci. Śmiały dzieciak wypatrzył od dawna orle gniazdo i skorzystawszy ze sposobnej chwili, gdy rodzice niewypierzonych jeszcze orląt odlecieli po żer, dotarł do załomu skały, gdzie w rozpadlinie uwiły sobie orły gniazdo. Tuż pod nogami chłopca bezdenna toń jeziora, w które stromą ścianą zbiega niebotyczna skała, nad niem skalne urwisko, na którym pozostał towarzysz awanturniczej wyprawy, a on, z góralskim

toporem w ręku, z orlęciem pod pachą, zawieszony pomiędzy niebem a ziemią, spina się po wystających złomach na górę.

skąd już znajomemi sobie ścieżkami obaj chłopcy zbiegną z łupem swoim w dolinę. Tymczasem z szumem skrzydeł i złowrogim krakaniem nadlatują orły, które instynkt znać jakiś ostrzegł o niebezpieczeństwie grożącym ich dzieciom, i krążąc nad głową rabusia, mierzą w niego zakrzywionymi dziobami... „Na pomoc! na pomoc!” rozpaczliwie woła towarzysz, który ze szczytu skały, gdzie pozostał dla czatowania na powrót orłów, ujrzał niebezpieczeństwo i ciągle głośnym krzykiem wzywając pomocy, ciska w orły kamieniami, by je odstraszyć od gniazda. Napróżno! coraz bliżej, coraz śmieiej napadają rozniewane ptaki na tego, co im gniazdo spustoszył, dziobami bolesne zadają mu ciosy, szponami ubranie na nim szarpia.

Na szczęście, znajdujący się nieopodal pasterze posłyszeli krzyki wzywające na pomoc i przybiegłszy na ratunek, spuścili mocną linę, w której pętlicę mały góral zakłada nogę, ręką za linę chwytą i pewny już ocalenia, powierza się swoim wybawcom. Zanim jednak pokaleczony, potłuczony wydobył się na wierzch skały, miał zapewne czas przyrzec sobie w duchu, że nigdy nie będzie narażał własnego życia dla wyrządzenia krzywdy stworzeniu, które choć drapieżne, kocha jednak swoje małe i broni własnego gniazda.

Ze wspomnień starszego brata.

spisał K. J. R. O.

(Dokończenie).

Muszę objaśnić czytelników iż miejscowość zwana u nas „niemiecką kępą”, leżała od zabudowań gospodarskich o jakie pół wiorsty. Był to niewielki las, a raczej kępa z kilkunastu sosen złożona, i otoczona jakby wałem różnej wielkości głazów, które częścią leżały tam od dawna, częścią zaś składało je z pola, gdzie przeszkadzały w oraniu.

Nazwa niemieckiej kępy stąd nadana została miejscu temu, że znaleziono w niem ciało niemieckiego kolonisty, który używał bardzo złej opinii i prawdopodobnie zginął z ręki jakiegoś nieprzyjaciela.

Ojciec mój kazał go pochować uczciwie, ale od owego czasu miejsce to pozostało postrachem okolicznych mieszkańców wioski. Twierdzono iż co noc odbywa się tam straszna walka, borykanie się pokutującego ducha z krukami nocującymi w istocie wśród karłowatych sosen, i z nastaniem zmroku każdy omijał tę ustronń jak najstaranniej. My, w dzień chodziliśmy tam bardzo często. Zapuszczony i zarosły kłęb sosen, dziką roślinnością jerzyn, głogów i kaliny nęcił zarówno oko we dnie fantastyczną powierzchnością dzieviczej natury, o ile odstraszał swą ponurą tajemniczością wśród nocy.

Z wiosną śpiewały tam roje słowików, latem przysiadły najczęściej stada kuropatew, jesienią kryło się najwięcej zajęcy, a zimą znów podchodziły gromady wilków z pobliskiego rządowego lasu. Niemiecką kępę znałem więc o każdej porze roku lecz, nigdy jeszcze w swoim życiu nie zaglądałem doń nocą. Pomimo to muszę sobie przyznać z niejaką dumą, że o ile mnie zdziwił niespodziewany projekt pana Emila o tyle jeszcze zachowałem odwagi, aby oświadczyć gotowość do drogi.

— Owszem — odparłem na wątpliwość w ostatnich jego słowach — jestem gotów wyruszyć do niemieckiej kępy choćby zaraz... Więc mówi: pan na trzecim drzewie od kamienia z prawej?... Przyrzekam, że albo powrócę z harapem, lub też nie wrócę wcale, pozostając tam do świtu aby go ławieć i napewno już odnaleźć...

Wszyscy, a zwłaszcza młodszy bracia, spojrzeli ciekawie w moją stronę, jakby chcąc się przekonać czy to w istocie ja, Janek, zdolny jestem do tak heroicznego przedsięwzięcia.

— Bardzo dobrze chłopcze — zawyrokował ks. proboszcz — pójdiesz tedy, ale w pierw powiedz mi otwarcie, czy wierzysz w siłę nadprzyrodzoną?...



W niebezpieczeństwie.

Zawahałem się. W pamięci stanęło mi naraz tyle zasłyszanych w swym życiu opowiadań o strachach.

— W siłę nadprzyrodzoną wierzę księżu proboszczu, ale wierzę również iż Bóg tylko jeden ją posiada i może ją gdy chce nam objawić, złe duchy zaś, nigdy!...

— Pięknieś powiedział... A więc mamy teraz godzinę dziesiątą — ciągnął patrząc na zegarek — ponieważ zaś, jak utrzymuje ciemnota, złe duchy rozpoczynają swoje panowanie od jedenastej — ty zaczekasz ze swą drogą do tej godziny aby nam pokazać iż do niej wiary nie przykładasz najmniejszej...

To powiedziawszy dał hasło wstania od stołu.

Godzina ubiegła szybko. Jedenastą wydzwonił donośnie zegar w jadalni, kiedy proboszcz, który dotąd nie zdawał się pamiętać o rozmowie przy herbacie, zwrócił się do mnie.

— Teraz możesz już iść Janku, w niemieckiej kępie walka rozpoczęta...

Wolałbym nie słyszeć tego zdania ale, udając że mi jest obojętnem, roześmiałem się przymusowo i wzięwszy czapkę, wyszedłem...

Noc była podczas ostatniej kwadry księżyca, choć

nie jasna, lecz spokojna. Wolnym krokiem przeszedłem opustoszałe gumno i skręciwszy kóło stodół znalazłem się na wąskiej drożynie wśród pola. Ścieżka, a raczej miedza szła prosto i w dali czerniła się na tle żółtawego ścierniska niemiecka kępa.

W miarę jak zbliżałem się do niej, ogarniało mnie dziwne jakieś, nieopisane wrażenie. Jakby na złość, tłoczyły mi się do myśli przeróżne opowiadania o duchach, i nieczystej sile, jakie kiedykolwiek zasłyszałem, i tworzyły chaotyczny zamęt, odbierając mi coraz więcej odwagę i pewność siebie. Nie chcąc spojrzeć dokoła spuściłem głowę na piersi, ręką w kieszeni ścisnąłem mimowoli scyzoryk jako całą obronę i szedłem szybko, aż rzucony na ziemi ciemny cień drzew powstrzymał mnie na miejscu. Podniosłem oczy; stałem przed wielką karłowatą, w fantastyczny hieroglif wyrosłą sosną, u stóp której leżał olbrzymi głaz w formie sześcianu, nadanego mu jakgdyby nieludzką ręką, tytana ducha.—Pomimo, że na dole spódki panował zupełny, wierzchołki drzew gięły się jakby targane górą wichrem, a stare pnie wydawały niekiedy przeciągłe skrzypienie zbliżone do jęku ludzkiej piersi. Kołyszące się gałęzie obsiadły szeregami wrony, czasem sowa zatrzepotała skrzydłami wylatując z dziupli na żer nocny, a wtedy budziły się śpiące wrony i odzywały się głuchym krakaniem, czasami zając pomknął wśród schnących traw i ziół gestych i znów nastawała cisza. W powietrzu czuć było żywicę pomieszana z wonią macierzanki i zapach ten mnie odurzał.

Jakaś nieprzeparta siła, ta sama zapewne, która ludzi patrzących w przepaść przyciąga ku otehlani, zmusiła mnie sięść i słuchać; przysiadłem więc na kamieniu i nieruchomie, z jakimś pełnym poszanowania spokojem przysłuchiwałem się czas jakiś tym rozlicznym odgłosom uśpionego życia, ustroni. Zdawało mi się, że oczekuję na coś niezwykłego a w tem gorączkowem oczekiwaniu z oczami utkwionymi w najciemniejszy kąt zarośli, przepędziłem, sam nie wiem, godziny czy minuty.

Wreszcie zwolna zacząłem przychodzić do siebie. Zjawisko nadprzyrodzone spóźniało się z ukazaniem oczywistości, i to przywróciło mój umysł do równowagi. Przypomniałem sobie cel mego przybycia i powstawszy ruszyłem śmiało naprzód. Minąłem kilka drzew, i wszedłem do środka. Gałęzie zaszemrały mi nad głową, jakby niezadowolone z mojej śmiałości i przerwania spokojnych, tajemniczych dumań. Zatrzymawszy się wreszcie przy jednym starym dębnie sięgnąłem ku niskiej gałęzi gdzie zdawało mi się dostrzegać świecąca skówkę poszukiwanego przedmiotu. I w istocie nie omyliłem się, był to harap pana Emila. Ująłem go do ręki i zrobiło mi się jakoś swobodniej na sercu, bo zawsze broń chociażby taka może się na coś przydać, i pomyślawszy: A teraz precz z duchami! bo który mi się nawinie popamięta swoją śmiałość pomimo swęj eteryczności! spiesznym krokiem ruszyłem do odwrotu. Już, wychodziłem z zarośli na jaśniejszą drożynę kiedy stawiając krok naprzód w miejscu gdzie wprawdzie nie napotkałem żadnej przeszkody ujrzałem, że podniosła się z krzaków jakaś szara postać. Odskokczyłem w tył na razie, ale odzyskując w jednej chwili odwagę i starając się w siebie wmówić że mi się niezawodnie coś przywidziało, przeżegnałem się pobożnie i krzyknęłam: kto tam?

Odpowiedział mi głos puszczyka i szum sosen, nic więcej.

— Mów bo strzele!—zawołałem jeszcze głośniejszym.—Zadnej odpowiedzi. Poczekiałem jeszcze chwilkę i uczułem mrowie na skórze, w miejscu gdzie stała szara postać dał się słyszeć szelest gałęzi. Potem i znów cisza zaległa.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — rzekłem sobie głośno dla otuchy, a kiedy nadśluchiwałem dłużej, a moje widmo nie wydało żadnego głosu, przypomniałem sobie iż mam nie próżną rękę i zamierzwszy się z całą siłą spuściłem mój harap na tę zagadkową zaporę...

— A żeby cię Pan Bóg kochał! a toż silny chłopak dopiero, wali jak cepem swoim harapem — zawołało widmo głosem księdza proboszcza.

Teraz dopiero rozumiałem cały podstęp. Ksiądz proboszcz, wracając do siebie, miał przejeżdżać drogą niedaleko po drugiej stronie niemieckiej kępy, a chcąc się naocześnie przekonać o mej odwadze, stanął w poprzek ścieżki owinięty szarym płaszczem. Natychmiast zapaliłem zapalnik i zacząłem go serdecznie przeproszać za tak niedelikatne przywitanie ducha, ale o gniewie nie myślał nawet.

— Nic to, przez płaszcz nie wiele czułem. A to zuch dopiero, co z duchami na harapy idzie!...

Podeszliśmy do bryczki stojącej o sto kroków i powrócili razem do domu, gdzie ksiądz proboszcz opowiedział całą przygodę.

Można sobie wyobrazić, jak się wszyscy naśmieli z tego, ale co do mnie byłem o tyle zadowolonym, że nasza odwaga zyskała na tem trochę.

Odtąd już nikt nigdy nie odzywał się przy mnie lekceważąco, że dzisiejsza młodzież nic nie warta — bo wnet stawiała wszystkim na myśli moja wycieczka o północy do niemieckiej kępy.

I wiele to razy urządzając coś podobnego ksiądz proboszcz padał ofiarą próby? Ale posiadał on tę właśnie wielką umiejętność że, chcąc rozświecić ciasny młody nasz umysł, potrafił tak nagiąć się do poziomu jego pojęć, by idąc potem równocześnie wraz z nimi coraz wyżej i wyżej mózg wskazać w końcu tę olśniewającą zorzę miłości i prawdy, która tylko tym sposobem stawała się dla nas widzialną!

Małuczki prostotą, a wielki wiedzą i doświadczeniem, umiejętną ręką rzucał myśli, niby ziarenka, do serc naszych, które gdyśmy z czasem pojęli stały się nam przewodnikami w niejednej trudnej życia godzinie...

Ukochawszy całą duszą wszelkie piękno na ziemi, powtarzał zwykle nam młodym, pragnąc byśmy je równie wzniosłe pojęli, te wielkie słowa które na zawsze pozostały mi w pamięci: Piękna nie dojrzyście tak łatwo gołą obojętną żrenicą — bo ukrywa się ono pod zasłoną bardzo wielkiej miłości...

Mając nas czterech przed oczyma, połączonych szczerą braterską miłością, jedynym jego pragnieniem, jak mówił, było, abyśmy całe życie pozostali dla siebie z tem niezmiennem uczuciem. Miłość rodziny jest podstawą ogólnej spójni, twierdził, a kiedy wyjeżdżając, by już nie powrócić i nie uściśnąć nas więcej, żegnał w nas dorastających już młodzieńców, rzucił nam jeszcze te ostatnie słowa, których również nigdy nie potrafię zapomnieć:

— A kochajcie się, chłopcy przez całe życie tak, jak dzisiaj, bo wszak wiecie co św. Paweł powiedział o miłości: Miłość nigdy nie ginie nie uznana, chociaż prorocтва zniszczają, chociaż języki ustają, chociaż umiejętność będzie zepsowaną na ziemi...

Wózek potoczył się w dalekie strony, a my za nim posłaliśmy ostatnie podziękowanie: Żegnaj nam księżu proboszczu! Jedziesz daleko, ale nie opuszczony, nie sam bo unosząc ze sobą naszą wdzięczność i część serc naszych!...

W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

Domyślając się tego p. Tadeusz wręcz go zagadnął.

— Szare wilczę pocziwe ma serce skoro umie być wdzięcznym za opiekę. Możeby też chciał podziękować Złotemu-Motyłowi?

— Złoty-Motył daleko! Za morzem, za wodą głęboką i straszną — odpowiedział młody wódz z widocznym już teraz żalem.

— Woda głęboka, ale nie bardzo strasza. Łabędź ogniem ziejący *) łącno przez nią przeprowi. Niech Szare-Wilczę jedzie z nami.

*) Tak Indianie nazywają parostatki.

Czynił mu tę propozycję na pół żartem, ale podniósł ją na seryo p. Walery.

— Jedź z nami, Szare-Wilczę — rzekł, przyjaźnie kładąc rękę na ramieniu młodzieńca — jedź! Sam mówisz, że Blade-Twarze „wiedzące”. Wielu, bardzo wielu rzeczy wiedz ci damy a za brata będziesz Królewiczynowi.

Na twarzy młodego wodza przeleciał błysk płomienia, błyskawica mignęła mu w oczach. Trwało to jednak chwilę tylko; przygąsło spojrzenie, nieruchomością znów oblekły się rysy i głuchym lecz pewnym głosem odpowiedział młodzieniec:

— Inne są bóstwa Błędnych-Twarzy i innych niż my mają braci. Kraj za morzem nieznanym jest Lakondonom! Wodzem jestem plemieniu memu i przy niem stać mi trzeba, zamiast na morze się puszczać daleko. Lakondonowie drogi swe mają w puszczy: od krańca jęj po kraniec wszystkie znają polany i przesmyki, wszystkie ostępy i moczary i puszcza za dom im stoi... Wy swoją, a my swoją drogą... w przymierzu...

— Którędy iść mamy, by zejść Patrizios'ów? — spytał p. Tadeusz — czy nie pokażecie nam drogi? Będzie jeszcze czas na rozstanie?

— Wy swoją a my swoją drogą... w przymierzu — powtórzył Szare-Wilczę — niech wie Złoty-Motył, że w przymierzu. Patrizios'ów dzisiaj zejść łatwo, a Morill drogę wskaże

Morill, oddawna już niecierpliwie czekający chwili wyruszenia w drogę, teraz usłyszawszy swe imię, podbiegł do Szarego-Wilczęcia i zmyślnym, pytającym wzrokiem spojrzął mu w oczy. Indyanin pogłaskał psa po łbie raz i drugi, potem wyjąwszy z za opasującą go tkaniny przedmiot jakiś dał go Morillowi do powąchania. Przez dość długą chwilę węszył Morill z rozmysłem i uwagą, aż wreszcie zrozumiał widać o co chodzi, bo wesoło machając ogonem, szczechnął na znak porozumienia, poskoczył ku wyjściu z polanki, zawrócił, znowu szczechnął, widoczną było rzeczą że mówi najwyraźniej jak powiedział może:

— No! wiem już wszystko! Proszę za mną!...

Przedmiotem, którego obwąchanie dostarczyło Morillowi tyle pomyślnych a pewnych wiadomości, był poprostu kawałek pół wełnianej tkaniny, strzępek jakiś wypełzły, bezbarwny, podziurawiony, ale w chwili porwania Józia służący mu za ubranie. Poznał go z łatwością p. Walery, bo z takiego samego materiału uszyty luźny kitel miał dziś jeszcze na sobie, ale strzępek ów wydawał woń jakąś silną, przejmującą, a p. Waleremu nieznaną.

— Co to pachnie tak mocno? — zapytał — roślina jakaś zapewne? ale nie napotkałem jęj nigdy.

— Ziele, które drogę wskazuje — z zagadkowym uśmiechem odparł Szare-Wilczę.

I nic już więcej nie dał z siebie wydobyć. Nie było też na to i czasu, bo i Lakondonom i naszym podróżnym śpieszyło się w drogę, a Morill cochwila niecierpliwie poszczekiwał, nagląc do pochodu.

Krótkie, i bez zewnętrznych oznak czułości lecz prawdziwie serdeczne było pożegnanie z Lakondonami. Jedni i drudzy czuli, że nie zobaczą się więcej...

Lakondonowie zapuścili się w głąb puszczy sobie tylko znajomym szlakiem, Morill ruszył w stronę przeciwną krokiem tak pewnym, jak ktoś, co zamiast drogi szukać, idzie do upatrzonego już celu.

— Morill, daleko jeszcze? — zapytywano go od czasu do czasu, nie żartem bynajmniej, lecz zupełnie na seryo; przez te bowiem dni kilka, odkąd pozostawano „pod komendą” pocziwego psiska, przyzwyczaili się wszyscy rozmawiać z nim, a co więcej rozumieć jego odpowiedzi. Morill też, wiedząc że nie z pozbawionymi rozumu istotami ma do czynienia, chętnie odpowiadał na pytania, z całą uprzejmością, na jaką psa dobrze wychowanego stać było.

— Nie, niedaleko — brzmiało szczekanie — niedaleko! Niedługo staniemy u naszego miejsca.

Skwar południowy zmusił podróżnych do wypoczynku. Morill tylko, chociaż zmęczony i zziębnięty, nie zasypiał jak zwykle, lecz krótko wypocząwszy, otrzymawszy przeznaczony dla siebie posiłek, i śpiesznie go zjadłszy, natychmiast kręcił

się zaczął niespokojnie, wreszcie w las pobiegł i... zniknął z oczu podróżnych.

— Morill! Morill! — wołał za nim p. Walery, ale pies przystanął na chwilę, odszczeknął i powrócić nie chciał, chociaż p. Walery wołać go nie przestawał.

— Gdzie on pobiegł? — niepokoił się p. Walery — coś zwęszył...

— Józia! — radosnym wykrzykiem odparł p. Tadeusz — czy pan nie czujesz tutaj tej samej ostrej woni, którą przejęty był strzępek dany dziś Morillowi do obwąchania. Józio tu gdzieś jest w pobliżu... najmocniejsze mam przekonanie, że zobaczymy go za chwilę. Tylko patrzeć jak przyjdzie Morill powiedzieć: Chodźcie-że prędzej, mam go już.

Jakby na potwierdzenie słów jego znowu dało się słyszeć szczekanie tak dziwne, że czasami zdawało się być śmiechem, czasem spazmatycznym łkaniem ludzkim, czasem w pisk jakiś przechodziło.

— Morill, Morill! — wołał cały drżący ze wzruszenia p. Walery.

— Jestem, ojcie najdroższy, jestem... kochany p. Tadeuszu! Jestem, jestem — rozległ się w odpowiedzi głos nie Morilla i tuż za psem pędzącym w szalonych podskokach, wypadł z pomiędzy drzew... Józio! Wychudły, wyrosły, ogorzały, obdarty, z nogami do kolan owiniętymi w jakieś szmaty, ale zdrowszy i silny, jak wnosić można było z impetu, z którym rzucił się ojcu na szyję a potem wyściskawszy ojca, złapał w pół p. Tadeusza.

Prawdę rzekłszy, nie bronili mu się ani jeden, ani drugi, szczęśliwi, że odzyskali go przecie. Były chwile, w których p. Walery nie miał już żadnej nadziei wyrwać go z rąk porwawców, czasem nawet i p. Tadeusz nadziei tej żywić nie śmiał! Aż tu znaleźli go, mają zdrowego i zupełnie, zda się, swobodnego, bo ścisła ich po kolei, o sto rzeczy, od razu zapytuje, co najniżej z dziesięciu opowiada zaczyna a Patrizios'ów, jeńca strzegących, nie widać...

— Gdzież Benito? — zapytał p. Walery, gdy minęła pierwsza chwila uniesień — towarzyszył ci przecie?

— A jakże! — wesoło odparł Józio — jak duch opiekuńczy. Wiem, że nie odstępował mnie na chwilę, czułem go ciągle nie daleko, czasami nawet mignęła gdzieś na skraju polany miedziana twarz jego, ale na dobre nie pokazywał się nigdy. Te osły Patriziosy, tak znają Indyana i wybiegi ich, jak ja Chińczyków lub Eskimosów! — dodał Józio z najwyższą pogardą dla niedawnych swoich strażników — na matach im się wysypiać a nie z łupem porwanym kryć po puszcach. Niedołęgi! ani się domyślali, że są śledzeni przez Benita!

— Jakże się z nim porozumiałeś? Czy mógł znaleźć dostęp do ciebie? Te osły, jak ich nazywasz, musieli cię strzedz uważnie?

— Jak skarbu, ojcie drogi, a nawet tak, jak gdybym był całym skarbcem. W dzień i w nocy, zmieniał się ich po dwóch, dobrze uzbrojonych i mieli mnie ciągle na oku. Ale miałem ja sposób, o którym oni nie wiedzieli: kiedyś jeszcze jak byłem mały, nauczył mnie Benito kilka wyrazów pismem węzłowym... Wiedziałem jak zadzierzgiwać trzeba węzły na wyrazy koń, las, człowiek, ja, a teraz w podróży, kiedy to Lucia o mało co nie została bóstwem... Ach! jaki ojciec jest niedobry! z łaski ojca pominął mnie zaszczyt zostania bratem bóstwa! — przerwał sam sobie niepoprawny swawolnik — a Lakondonowie składali jej ofiary z napisami, których znaczenie tłómaczyli nasi Indianie, nauczyłem się innych jeszcze kombinacji węzłów. Benito wzdrygał się trochę przyznać żem tajemnicę ich posiadał, ale w końcu zaprzeczyć mi nie mógł, musiałem tylko przysiąc mu uroczystość, że tajemnicę pisma nigdy przed żadnym z białych nie zdradzę. Wołałem więc nie przyznawać się do nowo nabytej umiejętności, bo jeszcze by mnie wzięła pokusa wygadania się. Otobym dopiero za imponował miss Oliwii! — zaśmiał się chłopiec — no, ale nie wypadało... Teraz dopiero, gdy się ujrzał odcięty od wszystkich swoich, przyszło mi na myśl, że może takim wiązaniem lian zwrócę na siebie uwagę krajowców krążących po puszczy.

WIECZORY RODZINNE.



Czy warto się obrażać?

Było sobie dwoje rodzeństwa: Włodzio i Władzia. Byli w równym prawie wieku i kochali się bardzo, tak że jedno bez drugiego żyć nie mogło.

Bardzo to ładnie, nieprawdaż? Wszyscy też chwalili za to dzieci, ale co nie było wcale godnem pochwały, to to, że się na siebie ciągle gniewały. Najlżejszy powód wystarczał im, aby się obrazić. Psuły sobie zawsze zabawę; posłuchajcie, w jaki sposób wyleczyły się z tej brzydkiej wady.

Była to niedziela. Po obiedzie Włodziowi chciało się pobiegać.

— Włodziu — zawołał na siostrzyczkę — chodź ze mną do ogrodu bawić się w konie!

— Dobrze, ale wpierw ukończę zaczęta powiastkę.

— Kiedy ja chcę zaraz biegać!

— Ach, jakież nudny jesteś! Nie myślę rzucić w tej chwili książki. Poczekaj.

— Ani myślę czekać; wiem że dla mnie nigdy nic nie chcesz zrobić, ale obejdę się bez ciebie; myślisz że sam się nie potrafię bawić!

I obrażony poszedł sam, Władzia chciała pobiedz za nim aby mu przykrości nie zrobić, ale została, bo ją znów obraziły ostatnie słowa brata.

Czytała więc dalej powiastkę, ale nie zajmowało ją

Dodatek do N. 49, 1891 r.

czytanie, bo ciągle przychodziło jej na myśl: co tam Włodzio robi!

A Włodzio pobiegł do ogrodu; zaczął się przecha-dzać poważnie po alejach; przyglądał się ptaszkom, motylkom, chmurkom... ale zabawa nie szła, bo mu brak było siostry.

— Ale nie pójdę już do niej, niech nie wyobraża sobie, iż tak jej potrzebuję koniecznie!

Tak rozmyślając, smutny i zły, zaszedł aż do sadu warzywnego, spotkał ogrodnika, który mu dał śliczne jabłko. — A dla siostrzyczki? — rzekł chłopczyk.

— Dla panienki? O! zaraz przyniosę zarówno ładne — rzekł stary sługa; i Włodzio z dwoma jabłkami pobiegł pędem do domu. Wbiegł do dziecinnego pokoju, i już miał zawołać „Włodziu“! gdy wtem przypomniał sobie, że jest obrażony. Co tu robić? A tak mu się chciało oddać siostrzyczce podarunek! Chciał na pociechę zjeść chociaż swoje jabłko, ale nie szło do gardła. Stanął więc smutny koło stołu i zamyślił się co tu robić?

Wtem drzwi się otworzyły i weszła Władzia. Chłopczyk na jej widok prędko schował jabłuszka za plecy i tak z rękami w tył stał sobie, udając że siostry nie widzi.

Władzia udała także że braciszka nie widzi; wyjść zaraz z pokoju jakoś nie wypadało, więc oparła się o drugi bok stołu, i niby się zamyśliła. Tak zadąsane dzieci, odwrócone od siebie, hardzo zabawny przedstawiały widok, jak to na załączonej rycinie widzicie.

Wtem z rąk Władzi wypadła książka. Włodzio drgnął, i z przyzwyczajenia, mimowoli poskoczył aby ją podnieść, gdy znów sobie przypomniał że jest obrażony, i zamiast oddać książkę położył ją na stole. Władzia obróciła się aby ją wziąć i zobaczyła jabłko.

— Ach! czyje to jest... i znów umilkła, przypomniawszy sobie że z Włodziem nie rozmawia. Ale w tej chwili spojrzeli na siebie i tak śmieszni się sobie wydali z tem ciągłym zapominaniem się, że cboje wybuchnęli śmiechem.

— Nie, nie potrafię dłużej się gniewać! — zawołał Włodzio.

— Chyba to prawda, że bez siebie żyć nie możemy — odrzekła Władzia. — Żebyś wiedział jak mi przykro było gdyś odmówił twojej prośbie!

— A jak mnie źle było w ogrodzie bez ciebie! Jak żałowałem żeś się obraził i nie poczekał na ciebie!

— O cośmy się pogniewali? Bo doprawdy nie było o co. Jedno i drugie mogło ustąpić.

— Od dnia dzisiejszego nie będę już potrzebował obchodzić się bez siostry; wolę już choćby we wszystkim ustępować!

— O! tak źle nie będzie. Ja biorę na siebie połowę. A na zgodę, zjemy po jabłuszku, bo myślę że jedno z nich dla mnie?

— Ależ naturalnie, czyżby mogło być inaczej?

I oto dzieci nasze znów przy stole, ale z minkami wcale nie podobnymi do tych, jakie miały poprzednio.

Mar.

PRZEBIEGŁE WILKI.

Ogromne szkody wyrządzały wilki w całej okolicy. Jednemu gospodarzowi zjadły wołu, drugiemu konia; a ile owiec, świń i kóz, policzyć trudno. Z początku myślano, że młody pastuch źle pilnuje, wysłano więc starszego, ale było wciąż ginęło i ginęło, ani pastuch, ani pies poradzić sobie nie mogli.

A drapieżniki te rozmaitych tymczasem używały przebiegów.

Zawczasu się umawiały i wychodziły z lasu. Wilk krył się za krzakiem, a wilczyca szła na łąkę do stada. Pies, widząc nieprzyjaciela, odpędza go gniewnie. Po chwili wilk znowu się pojawia. Pies powtórnie odpędza. Wilczyca jednak nie przestaje nacierać i znowu się zbliża.

Pies wkońcu zniecierpliwiony, zaczyna ścigać zwierza tak zawzięcie, że zapędza go w głąb lasu. A tymczasem wilk wyskakuje z poza krzaku i porywa sobie najlepszą zdobycz.

Wilczyca przestaje już zwodzić, odnajdzie niebawem wilka i oboje dzielą się łupem.

Pewnego poranku, a było to w zimie, rozniosła się straszna wieść: wilki dziecko ze wsi porwały. Tego już był za wiele.

Uwzięli się wieśniacy i postanowili użyć wszystkich sił, aby wytępić wilki w całej okolicy.

Kilku śmielszych ludzi poszło natychmiast ze strzelbami do lasu. Niedługo jednak wrócili.

— No cóż? — pytali ich inni — cóżeście tak prędko przyszedli?

— Bo z wilkami niema żartów. Jest ich tam więcej niż sto w lesie; trzymają się razem. Trudna z nimi sprawa!

Jeden chwytą zdobycz, drugi powala ją na ziemię, a cała gromada rzuca się wtedy na nią i rozrywa. Kilku nawet ludzi im nie podoła.

Zaczęli więc naradzać się między sobą wieśniacy. W końcu wykopali w lesie kilka głębokich dołów, wrzucili w nie mięso i nakryli suchymi gałęzmi, a następnie uzbrojeni w strzelby wyszli na łowy. Jakoż w dołach zabili kilka wilków, które tam wpadły zgnęcone wonią mięsa.

Wypocząwszy parę dni, myśliwi znowu się wybrali się do lasu. Ale wilków już nie spotkali.

Domyśliły się widać, że im ludzie zemstę poprzysięgli i przeszły do innego lasu.

We wsi zapanował znowu błogi spokój.

Marya Weryho.

GODZINA REKREACYI.

OBRAZEK SCENICZNY W JEDNEJ ODSŁONIE

przez

Bronisławę Porawską.

(Dokończenie).

JADWINIA. Nie bierz mamusi kapelusza, ja nie dam. MANIA (wybiegając). Figa nie dasz.

JADWINIA. Mamusia gniewać się będzie.

KAZIO. Ty ciągle z tym gniewem wyjeżdżasz, myślałby kto że mama ciągle się tylko gniewa.

MANIA (wracając z kapeluszem). Kładź Zuziu, tylko prędko, niema czasu do stracenia.

ZUZIA (kładąc kapelusz na głowę). No, teraz dopiero, naprawdę wyglądam jak królowa.

KAZIO. Maniu, daj mi miecz, przecież królowi potrzebny do boku.

MANIA (szukając). Oto kij od rolety, masz, doskonale.

KAZIO. Ubieraj prędko Jadwinie i siebie.

JADWINIA (uciekając). Nie chcę, nie chcę!

MANIA (goniąc ją). Jadwiniu! Jadwinieczko! nie psuj nam zabawy.

KAZIO. Ale, ale, Maniu, zrób chorągiew, to przecie konieczne.

MANIA. Ty wszystko mnie każesz robić, już się tak umęczyłam, że ledwie oddycham, ciągle biegam jak nąjeta.

ZUZIA. Żeby panienka była królową, toby nie biegała.

MANIA (wybiega znów na chwilę i wraca niosąc kij i chustkę kolorową). Oto kij tatusia i jedwabna chusteczka panny Anieli, będzie chorągiew. (przywiązuje chustkę do kija i daje Kaziowi).

KAZIO. Wybornie! ta Mania to pomysłowa (do Zuzi oddając jej kij). Trzymaj to najjaśniejsza pani.

ZUZIA (z powagą). Dobrze najjaśniejszy królu.

MANIA. Teraz Jadwichna... ale... jak ją tu ubrać... dama dworu... czy ja wiem jak takie damy się ubierają... dama dworu, to pewnie taka dama, co ciągle na dworze siedzi. Kaziu nie wiesz jak ubrać Jadwinie?

KAZIO (zakłopotany). Myślę... myślę... że dama dworu, to pewnie chodzi w okryciu i w kapeluszu.

MANIA. To bardzo zwyczajnie.

KAZIO. Daj jej woalkę i parasolkę.

MANIA. Ale jaki kapelusz?

KAZIO. Wiesz co! daj jej cylinder tatusia, dama dworu może jeździ i konno, ja widziałem, że panie jeżdżą konno w takich kapeluszach, a dama dworu, do wszystkiego powinna być zawsze gotową.

JADWINIA. Ja się tak nie ubiorę.

MANIA. Ale ubierzesz, ubierzesz, zobaczysz to będzie śliczne, czekajcie, zaraz przyniosę. Ach! co ja się dziś nabiegam, to okropność.

JADWINIA. Któż ci każe.

MANIA (wybiegając). Zaraz wrócę.

KAZIO (oddychając). Uf... jak mi gorąco.

ZUZIA. I mnie ciepło, ale niech tam, kto chce być królową, musi cierpieć i gorąco.

MANIA (niesie płaszczyk i kapelusz). Oto cylinder tatusia, a to płaszczyk p. Anieli, ten nowy wzięłam, bo ładniejszy. Jadwiniu kładź, tylko prędko.

JADWINIA. P. Aniela gniewać się będzie.

MANIA. (wzruszając ramionami). Miałaby też o co, nigdy się nie gniewa, chyba że lekcyi nie umiemy, to nawet będzie jej miło. No, moja Jadwichno, moja złota, nie psuj nam zabawy.

JADWINIA (wahając). Zobaczycie, że to się źle skończy...

MANIA (kładąc jej płaszczyk). O, widzisz jak ci ładnie, a że długi, to właśnie tak trzeba, wszystkie damy długo się ubierają, (kładąc jej kapelusz na głowę) słicznie ci, doprawdy, wyglądasz jak prawdziwa... aha, jak amazonka.

KAZIO. Damo dworu, stań przy boku królowej.

JADWINIA (idąc zawadza się o długi płaszczyk i pada). Aj! (podnosząc się) e, to do niczego nie podobne, (staje przy Zuzi) a prędko będzie koniec?

MANIA. Zaraz, tylko jeszcze ja się ubiorę. Kaziu, nie wiesz jak się Mardocheusz ubierał?

KAZIO. Naturalnie że wiem, zupełnie tak jak nasz pachciarz Szmul.

MANIA. Więc wezmę tatusia szlafrok... mamusi mufkę na głowę, tylko gdzie jej szukać.

ZUZIA. Panna dziś wietrzy futra, wiszą tam w sieni, wedle lamusa.

MANIA. Niema się co namyślać, dalej po mufkę. (wybiega).

(Głos za sceną).

Zuziu! Zuziu!

ZUZIA. O laboga! to panna krzyczy. (chce zeskoczyć).

KAZIO. Ani mi się rusz, teraz właśnie uciekać, gdy koniec blisko.

MANIA (wraca z mufką i szlafrokiem i oddycha zmęczona). Nie, już drugi raz za nic w świecie nie zrobiłabym tego. Oj, zmęczyłam się, w dodatku o mały włos nie spotkałam się z panną, szuka Zuzi.

KAZIO. A niech szuka, ubieraj się.

MANIA (kładzie szlafrok i przewiązuje się sznurkiem). Czy tak dobrze?

KAZIO. Dobrze.

JADWINIA. Jak stary Szmul.

MANIA. O to właśnie chodzi (kładzie mufkę na głowę). Najgorzej że ta mufka nie chce się trzymać na głowie.

KAZIO. Stój prosto, głowę nie ruszaj, to się będzie trzymać.

MANIA (staje na boku i sztywno trzymając głowę wstawia mufkę). Ale to niewygodnie.

JADWINIA. A teraz co?

KAZIO. No co, zaraz się zacznie przedstawienie (do siebie). Ale jakie, to sam nie wiem.

MANIA. Kaziu, a co ja mam mówić?

KAZIO. No, mów co chcesz, przecie się uczyłaś tak samo jak i ja.

SCENA IV-ta.

Ciż, P. ANIELA (staje we drzwiach niewidziana przez dzieci).

MANIA. To jakoś było, że izraeliów mieli tracić, czy wypędzać... doprawdy nie pamiętam... a... ta Estera

(pokazując na Zuzię) uratowała ich jakoś... e, popłatało mi się doprawdy w głowie.

P. ANIELA (powstrzymując uśmiech, zbliża się na środek pokoju). A toż co widzę? maskarada wśród lata?

ZUZIA (przestraszona). Laboga! dopiero to będzie.

DZIECI(nie ruszając się z miejsca). Ach! Boże! (zalamując ręce).

P. ANIELA. Co widzę! Kazio w moim nowym kapeluszu?

KAZIO (w pomieszaniu). Ale... bo...

P. ANIELA. Ale bo co?

MANIA (wyciągając sobie palce). Bo... myśmy urządzili... myśmy proszę pani urządzili...

KAZIO. Myśmy urządzili... obraz historyczny i... i... mieliśmy odegrać scenę...

P. ANIELA. Istotnie urządziliście scenę, od pół godziny Antosia szuka was po ogrodzie i w parku, panna za Zuzią wysłała gońce, ja czekam w pokoju szkolnym daremnie, aż zmuszoną byłam szukać was sama, i oto, znajduję... maskaradę.

MANIA. To obraz historyczny proszę pani, to też jak lekcy.

P. ANIELA. I jakiż to obraz? doprawdy domyślić się trudno.

KAZIO. E, proszę pani, widzę żeśmy trochę pobłądzili, przepraszamy panią serdecznie, ale teraz, niech pani pozna, co my przedstawiamy. Z historii, jak mamę kocham.

P. ANIELA (wzruszając ramionami). Zapewniam cię że gdybym rok stała przypatrując się, nie odgadłabym tego, niby obrazu.

KAZIO. Ja proszę pani jestem Aswerusem.

P. ANIELA (wybuchając śmiechem). Ach! ty jesteś Aswerusem?

MANIA. Ja Mardocheuszem...

JADWINIA. Ja mam być damą dworu.

ZUZIA (nieśmiało). Ja proszę pani jestem królową. królową... nie pamiętam jaką.

P. ANIELA. Naturalnie Esterą. Ale co widzę? Jak to Zuziu, wzięłaś kapelusz pani? co? na tym kiju moja jedwabna chusteczka? i na jakąż to pamiątkę?

KAZIO. To, proszę pani chorągiew królewska.

P. ANIELA. Więc to na takie dzieciństwa marnowaliście czas przeznaczony na naukę? Zaniedbaliście obowiązek, lekceważąc porządek ustanowiony.

JADWINIA. A proszę pani... (zasłania sobie oczy).

MANIA. Proszę pani, kwadrans później czy wcześniej to wszystko jedno, my lekcy wydamy, i swoje zrobimy.

P. ANIELA. Tak, my swoje odrobimy, ale wiecie o tem, że kto lekceważy małe obowiązki, przyzwyczai się powoli zaniedbywać je i w rzeczach większej wagi.

KAZIO. Prawda proszę pani, przeciągnęliśmy godzinę rekreacji, i nie wymyśliliśmy nic mądrego, co prawda, to...

P. ANIELA. To... dokończ.

KAZIO. To, proszę pani, że słyszeliśmy, że dzwonią, tylko nie wiemy w którym kościele. Wiemy coś o Esterze, o Mardocheuszu, ale nie umieliśmy ułożyć z tego obrazu.

P. ANIELA. Miejcież stąd naukę, aby nie czynić nic takiego, czego nie umiemy i nie rozumiemy, bo zamiast zabawy lub pożytku, wyniknie śmieszność.

KAZIO (schodząc ze stołu). Król Aswerus przyrzeka pani, że nigdy obowiązkom nie uchybi. Czy mi pani przebaczy?

P. ANIELA (uśmiechając się). Z warunkiem, że mego kapelusza nie użyjesz nigdy jako korony.

MANIA. Nie udał nam się obraz, a w dodatku, trzeba będzie przy lekcji dłużej siedzieć, i może z przechadzki nic nie będzie.

JADWINIA. Mniejsza o przechadzkę, tylko niech się pani nie gniewa.

P. ANIELA. Ja się nie gniewam, ale Mania ma rację że dziś z przechadzki nic nie będzie, nie zdążymy z lekcjami.

MANIA. Jak drugi raz będziemy chcieli przedstawić obraz historyczny, poprosimy panią o pomoc.

P. ANIELA. Tymczasem, przyprowadźcie wasze ubranie do porządku, poskładajcie rzeczy na swoje miejsce i chodźcie do lekcji.

MANIA. Nabiegałam się, namęczyłam i figa była nie teatr, albo obraz. E, byłoby pewnie milej w lesie pobiegać i grzybów nabierać.

KAZIO. Czekajcie, nie udało się przedstawienie raz, to sobie drugi raz urządzimy lepiej. Ale z pomocą pani, ho, ho! co ja wtenczas wymyślę!

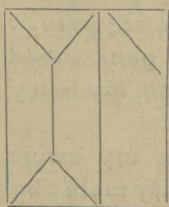
ZUZIA (kiwając głową). Ale ja, to już pewno nigdy królową nie będę, (ogląda się z trwogą) oj, da mi panna królowę, da.

SZARADA.

Ułożył Jaśko Warszawiak dla Amerykanina.

Pierwsze i drugie imię męskie znane,
Czwarte poeta, pieśni którego
Już przez nas wszystkich są chyba czytane;
Trzecie znów rzeka kraju pięknego,
Lub też przyimek. A wszystko w świecie,
Hen, na południu gdzieś tam znajdziecie.

Łamigłówka geometryczna.



Z powyższego kwadratu wyciąć z tektury części podług oznaczonych linii i ułożyć figurę w kształcie krzyża.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 47-go.

Homonimu: Cis.

Zadania konikowego:

Nie odkładajmy do jutra,ariatwo,
Tego, co można dziś zrobić łatwo.

Ewa Marya.

Skrzynka do listów.

Dziękuję ci kochana **Złota Pszczółko** za zaufanie którem mnie obdarzasz. Pochwalam bardzo twój zamiar uczenia się tak, żeby sobie później dać samej radę w świecie. Z pewnością najlepiej się można wykształcić w zakładzie o którym wspominasz, a opłata która ci się wydaje zbyt wielką nie jest taką bynajmniej, stosunkowo do tego co kierowniczka wydawać musi, aby wszystko było urządzone odpowiednio. Nazwisk o które zapytujesz niepodobna tu wymienić, jest to zresztą rzecz obojętna, bo tu wszystko znaczy kierunek samej pani.

Cieszę się **Wiochno z nad Niemna** że zadowolnić mogę twe życzenia doniesieniem: żądane nuty dostać można za kop. 60, z przesyłką 75, a mimo licznych korespondencyj i twój liścik zawsze mi żywą sprawi przyjemność.

Sosnowa Igiełka i Listek Bzu stanowią wprawdzie bardzo ładną parę zieleni, ale przysłane przez nich łamigłówki nie nadają się do druku — nie dlatego aby złe były, ale z powodu niewłaściwego wyboru tematu. Mam nadzieję, drodzy moi, że tego co mówię, nie weźmiecie mi za dowód złej woli: powtarzam wam tylko wyrok, do którego wydania Redakcja ma słuszne przyczyny. **Szatynce z nad Niemna**, donieść muszę że źle ułożyła szaradę. „Drugie trzecie“ nie jest *przymiotem* — raczej wadą, właściwością ujemną. Wszystko zaś nie jest „warzywem“ ale zieleń, i to nawet dość marnem. Co powiedziałwszy, od siebie już droga moja, wyrażam ci wdzięczne bardzo podziękowanie za miłą do mnie odezwę. Choćbym nawet nie była **Gołąbką**, której gniewać się nie wypada, to i tak, za cóżbym się gniewać miała? Czy za to, że serdecznie do mnie przemawiasz? To mi tylko radość najwyższą sprawia, i takiej właśnie radości powodem był dla mnie list twój, **Niezapominajko z nad Warty**. Przyzwyczaiłaś mnie do tych poczytywych, siostrzanych odezw i doprawdy, aż mi przykro, że na pytania twoje nie mogę dać odpowiedzi. Pomyśl jednak: czy taka odpowiedź nie zdradziłaby mojego incognito? Nie mogę się wydać kim jestem, nawet przed „skrzydlatą siostrzyczką“ **Sojką**, która ani na chwilę nie wątpi, że jej odpowiem. Przyznajcie siostrzyczki, że zasługuję na taką ufność? Wypracowania konkursowe **Sójko**, Redakcja sądzi; oddałam twoje na właściwe ręce a z niemi i liściki **Bystrego Konia**, który z powodu bystrości zapewne, zapomniał, że można tylko przysyłać po jednym na raz, ale nie zapomniał nazwać mię „kochaną“ co sobie za bardzo miłe słówko uważam i wywdzięczając się za nie podpisuję się, kochającą was szczerze **Gołąbką**.

Złota Pszczółko, za liścik ci dziękuję serdecznie, i donoszę, że nazywam się Aniela i mam kilkoro rodzeństwa. Czy podoba ci się „Zwalczone uprzedzenie“? Mnie bardzo. Ja mieszkam w zimie w Warszawie, a w lecie na wsi. Odpiszcie prędko kochającej was **Ciszy wieczornej**.

Droga Dziewanno! Nie mogę zgadnąć kim jesteś, za liścik ci dziękuję. Mieszkam w Sławucie, a imię moje Marylka. Cemu **Gałązka Heliotropu** do mnie nie pisze? Pokrzywko, napisz do mnie proszę. Chmurce złocistej, Kwiatowi **Agawy** dawniej Jarzębinie, które wiem że czytują nasze kochane **Wieczory** pozdrowienia przesyła **Burka sławucka**.

Miła Ogrodniczko, wiem, że się nazywasz **Jadzia B.** mieszkasz w Kazimierzu i masz mniejszą siostrzyczkę. Zgadnij kto mi to powiedział? **Motyłku!** Co ci się najwięcej w **Wieczorach** podoba? i czy będziesz należała do konkursu? Nie dajcie długo czekać na odpowiedź **Brunetce**.

P. S. Czy panienska nazywana w domu „**Markizą**“ zechce napisać do **Brunetki**?